

Chodzenie na skróty

AUTOR: JAROSŁAW ZALESIŃSKI

Różna ocena wartości obu adaptacji nie zmniejsza uznania dla – odchodzącego po tym sezonie z Teatru Miniatura – dyrektora Romualda Wicza-Pokojskiego. Teatr lalkowy, teatr dla dzieci mierzący się z tego gatunku tekstami to raczej rzadkość. W Miniaturze było to regułą.

TEATR MINIATURA
W GDAŃSKU

Wieloryb
Jerzego Limona

adaptacja Romuald
Wicza-Pokojski
reżyseria Jacek Głomb
scenografia
Małgorzata Bulanda
muzyka
Łukasz Matuszyk
muzyka na żywo
Jowita Cieślakiewicz
ruch sceniczny
Katarzyna Kostrzewa

prapremiera
16 września 2018

Zofia Bartoś (Helena),
na projekcji
Jadwiga Sankowska
(Matka Heleny)

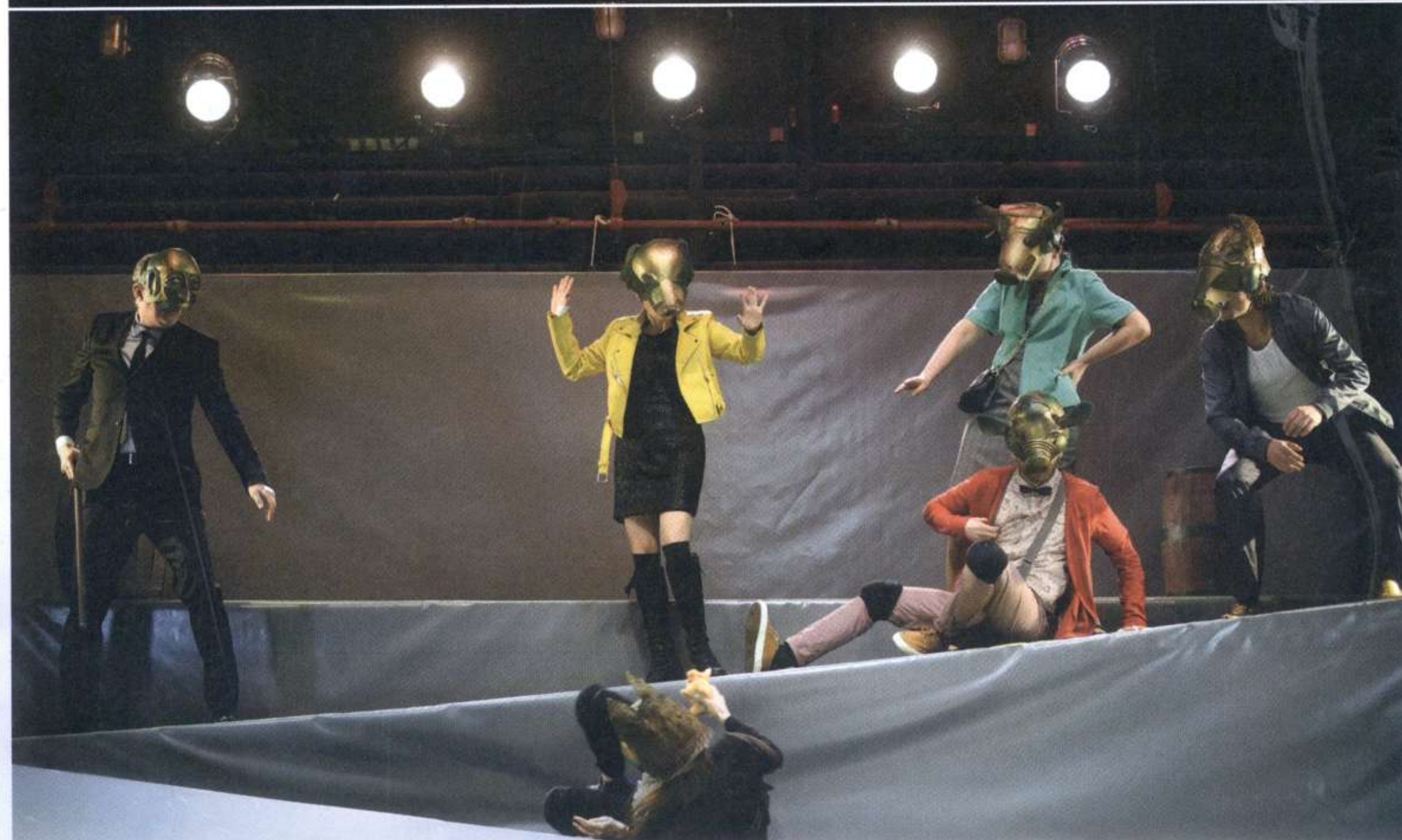
TEATR MINIATURA
W GDAŃSKU

Bunt
Władysława
Stanisława Reymonta

adaptacja, reżyseria
Jakub Roszkowski
scenografia
Maciej Chojnacki
muzyka
Stefan Wesółowski
ruch sceniczny
Wioleta Fiuk,
Patrik Gacki

prapremiera
24 marca 2018

Scena zbiorowa



fot. Piotr Pędziszewski / Teatr Miniatura w Gdańsku

fot. Piotr Pędziszewski / Teatr Miniatura w Gdańsku

■ Sławomir Cenckiewicz doliczył się bodaj ośmiu wersji historycznego skoku Lecha Wałęsy przez mur Stoczni Gdańskiej 14 sierpnia 1980 roku, opartych na relacjach samego Wałęsy, a także innych uczestników sierpniowego strajku. W przedstawieniu *Wieloryb* gdańskiego Teatru Miniatura poznajemy zatem wersję dziewiątą. Z motorówką? Jeszcze inaczej. Lecha Wałęsę od „opieki” dwóch esbeków uwolnił Garmund, syn walecznego Wulfstana, o którym wzmianka zachowała się w staronordyckich przekazach. Garmunda w ten właśnie moment historii, gdy Lech Wałęsa przeskakiwał stoczniowy mur, skierowując na nową tory bieg dziejów, wysłało tajne bractwo Korektorów historii. Mało wiarygodne? A jednak reżyser Jacek Głomb inscenizuje tę scenę, jakby to był reality show.

Publiczność ogląda moment skoku przez płot poza teatralną salą, na niewielkim dziedzińcu ukrytym za budynkiem teatru (dziedziniec wygląda zresztą jak skamielina PRL). Na ten dziedziniec wjeżdża nagle fiat 125 p, wyskakują z niego esbecy, dopadają Garmunda (Krystian Wiczyński), wywiązuje się niezdarna bójka, dzięki której Lechowi Wałęsie udaje się przemknąć bokiem i z pomocą Garmunda pokonać wysoki płot (co notabene potwierdza, że stoczniowego muru Wałęsa sam, bez niczyjej pomocy, nie zdołałby przeskoczyć...). Dopiero po tym wstępie publiczność zapraszana jest do teatralnej sali, by dowiedzieć się, co wydarzyło się wcześniej.

Jest i nie jest

Gra w prawdę i zmyślenie jest sednem powieści *Wieloryb* Jerzego Limona, którą Jacek Głomb i Romuald Wicza-Pokojski, autor adaptacji, przenieśli na scenę. Wszystko w tej książce jest tym, czym jest, i zarazem tym nie jest. Napisał ją Jerzy Limon, ale jako autorka występuje w niej niejaka Helena Szymańska. *Wieloryb* jest powieścią, ale wcale nie jest powieścią, bo to tylko zbiór luźno ze sobą powiązanych wypisków z setek kronik, sag, ksiąg i historycznych dokumentów. Wiele z tych tekstów sprawia wrażenie autentyków, ale autentykami nie są, bo choć na przykład święty Kolumban Młodszy rzeczywiście żył na przełomie VI i VII wieku, jest też prawdą, że ponoć przemysliwał o misji nawrócenia Słowian, i jest też prawdą, że jego żywot został napisany przez Jonasza z Bobbio, to jednak śmiem wątpić, czy podany w powieści Jerzego Limona wypisek rzeczywiście w tym zabytku piśmiennictwa się znajduje. Choć stuprocentowej pewności nie mam... Na tym właśnie polega zabawa w powieść,

praktykowana przez Limona: książka udaje, że nie jest linearną historią, tylko rozrzuconymi bez ładu i składu puzzlami, choć tak naprawdę z tych fragmencików układana jest opowieść. *Wieloryb* udaje, że jest prawdą, choć polega na fikcji.

Przełożenie tych myślowych igraszek na spektakl nie było prostą rzeczą. Z prywatnej rozmowy z autorem adaptacji wiem, że egzem-

plaryzacja sensu i uczynienie z niego osi spektaklu zapewni mu zwartość. I to się sprawdziło. Adaptacja jest niewątpliwie największym atutem tego przedstawienia. Ciekawym scenograficznym pomysłem jest rozłożenie przez Małgorzatę Bulandę na podłodze sceny kawałków ciała wieloryba jako rodzaju modelu do składania i rozkładania na części. To doskonały komentarz do „puzzlowej” natury książki. Szko-

Wydobycie ukrytego sensu powieści i uczynienie zeń osi spektaklu zapewniło mu zwartość. Adaptacja jest największym atutem teatralnego *Wieloryba*.

plarz *Wieloryba* dwukrotnie lądował w kącie, ciśnięty tam z gniewnym poczuciem, że przedstawienia z tego zrobić się nie da. A jednak – udało się dzięki temu, że Romuald Wicza-Pokojski postanowił wybrać drogę na skróty.

Bóg Waleza

Kluczy do *Wieloryba* można by było dorozić wiele. Powieść (bo to jednak powieść) mówi przecież choćby o obecności zła w świecie, zła, którego symbolem jest tytułowy wieloryb, Lewiatan. Adaptator powieści mógłby sobie te różne klucze przewlec przez duże kółko i podzwaniać nimi, otwierając kolejne zakamarki tekstu. Wicza-Pokojski jednak świadomie wielowariantowość powieści sprowadził do praktycznie jednego wątku: wspomnianej gry prawdy i zmyślenia, rzeczywistości i opowieści. Co w historii jest jej faktycznością, a co nadbudowanym nad nią opowiadaniem o jej przebiegu? Jacek Głomb, często łącząc żywy plan i projekcje filmowe, stawia to właśnie pytanie. W spektaklu oglądamy więc i opisaną już inscenizację skoku Wałęsy przez stoczniowy mur, i dokumentalne nagranie jego słynnego wystąpienia w amerykańskim Kongresie 15 listopada 1989 roku. Wystąpienie miało miejsce na pewno, ale już to, jaką drogą Lech Wałęsa doszedł do tego zwieńczenia swej politycznej kariery, pozostaje domeną opowieści. Zaś opowieść to zawsze teren podmokły, niepewny...

Pozostaje jeszcze wyjaśnić, co w tym wszystkim robi Lech Wałęsa. O tym, że jego biografia jest jednym z wielu możliwych kluczy do wydanej w 1998 roku powieści Jerzego Limona, wiadomo było od zawsze – wszak bóg Waleza (Velesa) pojawia się na kartach książki wielokrotnie. Intuicja podpowiedziała autorowi adaptacji, że wydobyć na wierzch tego ukryte-

go sensu i uczynienie z niego osi spektaklu zapewni mu zwartość. I to się sprawdziło. Adaptacja jest niewątpliwie największym atutem tego przedstawienia. Ciekawym scenograficznym pomysłem jest rozłożenie przez Małgorzatę Bulandę na podłodze sceny kawałków ciała wieloryba jako rodzaju modelu do składania i rozkładania na części. To doskonały komentarz do „puzzlowej” natury książki. Szko-

Linie opowieści

Udana wrześniowa premiera Teatru Miniatura kazała też wrócić myślą do innej adaptacyjnej pracy dla tej sceny – premiery *Buntu* Władysława Reymonta, z marca tego roku. Samemu zamiarowi można tylko przyklasnąć. Świetnie, że teatr postanowił przypomnieć antyutopię Reymonta, pisaną w 1922 roku, gdy było już wiadomo, że bolszewicki przewrót, niosący obietnicę powszechnej sprawiedliwości, zmienia się w powszechny terror. Czy Reymont rzeczywiście zainspirował swoją baśnią Orwella jako autora *Folwarku zwierząt*, tego historia literatury nie rozstrzyga, ale z pewnością warto przypomnieć, że Reymont był ze swoim pomysłem pierwszy... Jakub Roszkowski, autor adaptacji i zarazem reżyser *Buntu*, poszedł jednak inną drogą niż Romuald Wicza-Pokojski i Jacek Głomb. Zamiast redukcji wybrał rekonstrukcję. Powieści Reymonta daleko do klarownej linii opowieści w *Folwarku zwierząt*, gdzie wszystko sprowadza się do prostego schematu: ucisk – bunt – i po-

nowny ucisk. U Reymonta mamy na przykład rozbudowany wątek sporu pomiędzy zwierzętami udomowionymi oraz żyjącymi na wolności, który ten prosty schemat komplikuje. Roszkowski poświęca temu wątkowi sporo miejsca w swoim przedstawieniu, tak jakby starał się w swojej adaptacji stworzyć teatralny model konstrukcji powieści w skali jeden do stu. Zachował jej strukturę, ale przez to spektakl jest mało czytelny.

Teoretycznie pewnie ciekawym, ale w praktyce wątpliwym pomysłem okazało się pokazanie wyprawy zbuntowanych zwierząt, prowadzonych w stronę utopijnej Ziemi Obiecanej. Opis tej wędrówki zajmuje wiele stron powieści. Roszkowski wpadł na pomysł, by tę bezsensowną wyprawę donikąd, w pogoni za „chimerami”, zilustrować, stawiając aktorów, frontem do widowni, na elektrycznych bieżniach treningowych, i to ustawionych na nie takie małe obroty... Na premierowym przedstawieniu nie zazdrościłem aktorom, którzy mierzyli się z tym gimnastycznym zadaniem.

Zaletą spektaklu jest na pewno zorganizowanie przestrzeni przez scenografa Macieja Chojnackiego. Aktorzy, ustawieni na kilku ukośnie ustawionych pomostach, od razu symbolizowali to, co jest istotą Reymontowskiej opowieści: gradację, zróżnicowanie, umiejscowienie jednych wyżej, a drugich niżej, ludzi ponad zwierzętami, a potem jednych zwierząt ponad drugimi. Gdybyż cały spektakl był takim celnym adaptacyjnym skrótem... Nieczytelność przedstawienia najbardziej uwidacznia się na koniec. U Reymonta finałem oszukańczej wędrówki ku „chimerom” raju na ziemi jest ubóstwienie... gorylej rodziny, przypadkowo napotkanej przez zwierzęta po pokonaniu największych trudów morderczego marszu. Taki groteskowy koniec czeka, wydaje się mówić pisarz, wszystkie próby sprowadzania nieba na ziemię. Myśl pewnie celna, ale czy widz przedstawienia, nie tylko ten dorosły, także małoletni, wyczyta ją z niespodziewanego pojawienia się w finale wesoło tańczącej wielkiej małpy? Mam wątpliwości.

Różna ocena wartości obu adaptacji nie zmniejsza uznania dla – odchodzącego po tym sezonie z Teatru Miniatura – zamawiającego te przedstawienia dyrektora Romualda Wiczy-Pokojskiego. Teatr lalkowy, teatr dla dzieci mierzący się z tego gatunku tekstami to raczej rzadkość. W Miniaturze było to regułą. Raz na tarczy, raz z tarczą, ale zawsze odważnie – takie było dyrektorskie motto Wiczy-Pokojskiego. ■